Rok IV.

Nr. 14. Nr. 14.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po 1½ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 4 kwietnia 1874.

Ulica Wodna Nr. 15.

Darwin i darwiniści

przez

Władysława hr. Chotomskiego.

W „Gazecie Narodowéj“ w jesieni 1871 roku życzono sobie, ażeby kto zechciał objaśnić publiczność: „na czém polega darwinizm? jakie są jego zasady?“

Posłaliśmy odpowiedź — lecz téj nie ogłoszono, — a nadaremnie prosiliśmy o zwrot rękopismu. Nasze życzenie, ażeby dozwolono nam odczytu przeciw darwinizmowi, we Lwowie i Krakowie pominięto w grzecznych wymówkach. Dziś mając swobodę, poruszamy tę drażliwą kwestję, — pod której maską krążą w naszém społeczeństwie często wręcz sprzeczne wyobrażenia i pojęcia.

Winniśmy najpierw powiedzieć — że darwinizm nie jest dziełem Darwina.

Karól Robert Darwin, jeden z najdzielniejszych naturalistów Anglji, urodził się 2 lutego 1809 r. w Szrusbery (Shrewsbury). Podróżował przez lat 6, od 1831 do 1836, po południowéj Ameryce i po Cichym Oceanie, a od 1842 żyje w swéj dziedzicznéj własności Daun-baj-Bromlej (Down-by-Bromley) w hrabstwie Kent niedaleko od Londynu. Wydał: 1) „Opis ogółowy swéj podróży“ w 1839 r. tom I, a tom drugi 1845, które ukazały się w tłomaczeniu niemieckiém w 1854 roku. 2) „Wyniki zoologijne w téjże podróży czynione“ w 5 tomach (1840 do 1845); 3) „Wyniki geologijne w powyższych okolicznościach zebrane“ w 2 tomach (1845 i 1846); 4) „Badania nad Cirripedjami“ w 2 tomach (1851 i 1853); 5) „O zapłodnianiu storczykowatych“ (orchideae) ogłoszone w 1862 — a tłomaczone na niemieckie w 1862 r.; 6) Wiele innych prac czysto naukowych po pismach czasowych i w broszurach — jako prace przedwstępne swego najważniejszego dzieła; 7) „O wytwarzaniu się gatunków przez naturalny wybór rozpłodników“ które się ukazało w 1859 r., a w 1870 już 5go doczekało się wydania i na wszystkie nieomal języki europejskie tłomaczeń (niemieckie z 4go wydania, ogłoszone w 1870 r.); 8) „O różnicowaniu się zwierząt i roślin pielęgnowanych“ w 1867 (tłomaczenie niemieckie 1868 r.), a nareszcie 9) „O pochodzeniu człowieka“, wydane w 1871 nawet i polskiém tłomaczeniu.

Poważne i przeważne te prace, a mianowicie geologijne zjednały mu pierwszorzędny rozgłos pomiędzy uczonymi — ale dopiero dzieło: „O wytwarzaniu się gatunków“ uczyniło jego imię tyle rozgłośném — że dziś pierwszy lepszy czytelnik gazet powtarza z niesłusznem oburzeniem lub z niewłaściwém uwielbieniem jego nazwisko — jako hasła partji tak zwanych: wstecznych lub postępowych.

Ze saméj nauki Darwina nie wyprowadzonoby nigdy takich wniosków — jakie wysnuła fantazja doktora filozofji Ludwika Büchner'a, autora najprzewrotniejszéj i najbałamutniejszéj z xiążek w nowszych wydanych czasach pod tytułem: „Siła i materja“ (Kraft und Stoff), popartego przez niesumiennego uczonego Haeckel'a, którego dzieło: „Ogólna morfologja“ (Generelle Morphologie) i na polskie niestety przełożono. Powtarzamy niestety, — bo to tłomaczenie przyczyniło się do powierzchownych sądów naszych niegruntownych uczonych, a jeszcze więcéj — do łatwych popisów niedouczonéj młodzieży. Nazwisko Haeckel'a słynie niesłusznie za powagę mistrzowską, — bo uczony ten nie stósuje się bynajmniéj do zasad wyrzeczonych przez Niebuhr'a, któreśmy przytoczyli na stronach 86 i 87 w Nr. 11 naszego artykułu: „Czy złoto jest czystszym ale tym samym kruszcem co żelazo i t. d.“ — t. j. zasad sumienności, bez których nie można być rzeczywistym mistrzem, — ale zwodzicielem i bałamutem. Haeckel bowiem, jak mu to wyrzuca Ludwik Agassiz, uczony takiéj wartości jak sam Darwin: „fałszuje i naciąga do

swych celów fakta uznane jako naukowe prawdy“, a co gorsza, pozwala wymyślać sobie w rysunkach takie kształty, jakie mu do jego twierdzeń są przydatne. Odsyłamy czytelników do stronnicy 422 dzieła Agassiz'a: „De l'espèce et de la classification en zoologie“ (Paryż, 1869), gdzie na kilkudziesięciu przykładach chwyta p. Haeckel'a na fałszach i wytyka mu je.

Nic dziwnego, że z naszych profesorów nawet mało który sprawdzić zamierzy rysunki, nibyto mikroskopijnie widziane. Ktokolwiek się zagłębił w badania naukowe, ten wie, że świętą prawdą jest to, co powiedział Herrmann Schacht, że: „widzieć jest arcy-trudną sztuką“ (Das sehen ist eine schwere Kunst); kto wie, że cała wyprawa przez europejskie i amerykańskie rządy od dzisiaj już z tak ogromnym nakładem przygotowywana, w celu przypatrzenia się zaćmieniu słońca, mającego nastąpić 9 grudnia, a którego ostatecznym wynikiem będzie: ażeby się przekonać, czy wartość rzeczywista parallaxy słońca jest między 8″₈ a 8″₉ czyli 1/10″; kto wie, jakie drobnostkowe na pozór rzeczy są przeważne w swych skutkach w naukach ścisłych, ten nie znajdzie słów oburzenia — na taką bezsumienność. Dość zresztą powiedzieć, że z takich fałszów naukowych — wynika wprost i bezpośrednio zasada: „siła przed prawem.“ A jeżeli są ludzie, co się boją światła, — dla tego, ażeby ono nie odkryło ich słabych stron, — to powinni być i tacy, którzy to światło bezwzględnie zapalać winni — gdy chodzi o prawdę.

Darwinizm jest szałem — i co gorsza szałem bynajmniéj nie nowym.

Pierwszym darwinizmu autorem był ateista i szarlatan francuzki Juljan Offray de Lamettrie, urodzony 25 grudnia 1709 w St. Malo (Saint Malo). Był lekarzem. Dzieło jego: „Historja naturalna duszy“ (Histoire naturelle de l'âme), wydane w 1745 r., pozbawiło go posady przy gwardji francuzkiéj, gdyż w niém otwarcie przeczy nieśmiertelności duszy — i objawia dzisiaj pokutujący liberałów materjalizm. Inne dzieło jego: „Człowiek silnia“ (machina) spowodowało jego wypędzenie z Holandji. Fryderyk II przyjął go do swego dworu i swéj zażyłości. W Sansouci napisał obrzydliwe dzieło: „Polityka lekarza Machiavel'owskiego.“ Gwałtowna ta dyjatryba przeciw lekarzom tyle się podobała królowi, że go wpisał w grono akademji. Później wydał: „Człowiek-roślina“ w 1748; daléj „O początku zwierząt“ w 1750; „Wenus metafizyczna czyli o początku duszy“ w 1751; „Sztuka używania“ (l'art de jouir) w 1751 r. Dzieła te tyle go zochydziły, że we Francji już wykluczono go z wszelkich towarzystw, a Diderot pisze o nim co następuje: „La Mettrie rozwiozły, bezczelny, błazen, pochlebca, stworzonym był do życia przy dworach i dla łask możnych; umarł jak powinien był umrzeć, t. j. padł ofiarą swéj niewstrzemięźliwości i swego szaleństwa.“ — Dziwna, że te same zasady, które we wieku przeszłym sprowadziły najgłębszą pogardę na osobę i reputację autora darwinizmu, — że te same zasady — dziś pewnym honorem zdają się osłaniać onychże wyznawców! Czy to nie najjawniejszy dowód jak nizko stanęliśmy moralnie!... P. Ludwik Büchner zaczerpał mądrości z dzieł de La Mettrie — i jego „Siła i materja“ zjednała mu sławę. P. Haeckel swą uczonością z dzieł Darwina powyrywał już nie zasady — ale proste spostrzeżenia — i z nich przezwał ateizm de La Mettrie-Büchnerowsko-Haecklowski — darwinizmem.

Za tym szałem poszło kilku rzeczywiście bardzo zacnych i bardzo światłych ludzi, jak n. p. Holender Moleskot (Moleschot), Karól Vogt i im podobni, i urokiem swego imienia i swéj wiedzy pociągnęli za sobą wielu! Czcigodny i światły Moleskot w Turynie, z którym zażyle i dość długo żył autor niniejszego, mianowicie po wyjściu dzieła p. Haeckel, kilkokrotnie z żalem wspominał, że za gorąco zajął się był tą nowością i wykazywał pod mikroskopem błędy rysunków Haeckla. Karól Vogt też pomiarkował się na swym obłędzie. Ale to nie umniejszyło zapału do tych śliczności naszéj młodzieży, a nawet sam prof. E. Strasburger w Jena, jeden z najlepszych botaników, skłania się jeszcze mocno ku tak zwanemu darwinizmowi.

Aliści przeciw takowemu wystąpiła akademja Bolońska, i osobném pismem wzywała w 1868 r. wszystkich uczonych, ażeby: „zbijali te błędy, zwane darwinizmem, jako szkodliwe postępowi w prawdzie i naukach i jako niemoralne. Quatrefage, Max Müller, Agassiz i tylu innych wzywali Darwina, ażeby nie pozwolił nadużywać swego nazwiska do pokrywania tyle zgubnéj i lekkomyślnéj mrzonki — uchodzącéj za głęboką wiedzę.

Ciekawym jeszcze jest i ten kon (fakt) — że długo nie pytano się wcale, na czém opiera się darwinizm, chociaż już miał swe zastósowanie w kierunku polityki, filozofji i etyki po wszechnicach. Dopiero w 1869 r. party p. L. Büchner osnuwa tę gmatwaninę na następujących nibyto „teoremach“, jak to mówi na str. 27 w swoich: „Conférences“, Paris:

1) „Walka o exystencję“, to znaczyć ma, że silniejszy albo zręczniejszy ma prawo zniweczyć słabszego: Siła przed prawem.
2) „Wytwarzanie się odmian czyli zmienność w kształtach jedynek.“ (Formation des varietés et altération des individus).

Jeżeli pierwszy może być przytętym za zasadę (théorème), to drugi punkt jest tylko prostém spostrzeżeniem i to bardzo powierzchownéм, nie mającém najmniejszéj podstawy naukowéj i nie wyświecającém nic a nic. Jakżeż to można przyjąć za prawo, tém gorzéj, że darwiniści sami uznają, że: „ta zmienność ma pewne swe granice“ (zob. „Conférences“ str. 37, c. II), ale nie oznacza ani jakie? ani czemu?

3) „Przelewanie dziedziczne tychże zmienności w potomstwo.“ I to jest spostrzeżenie równéj wartości i doniosłości co i poprzednie.
4) „Wybór z natury takich jedynek już zmienionych, w których rozmogła się większa dzielność, wybór który się na korzyść zwycięztwa we walce odbywa.“

Ależ natura darwinistów jest siłą, i to siłą ślepą, silniową (mechaniczną), wrodzoną materji, taką samą jak ciepło w silni paropędnéj, albo taką, jaka drzymie w pięści pijanego, — siła, która jest przeczeniem wszelkiego rozumowania!..

Żadnéj z tych spostrzeżeń Darwin za zasadę nie uznał, choć one pozorowo nibyto wyjęte z jego dzieł.

Rozwinięte owe cztery punkta, jedyne, za podstawy ogłoszone przez samego L. Büchner'a, — tak zwanego „darwinizmu“ stanowią następującą formułę, przyjętą przez nibyto badaczów przyrody — formułkę znaną jeszcze pod mianem: „Nauki przemian“ (Transmutationslehre), a któréj treść taka:

„Wytłomaczenie kształtów genetyczne świata organicznego przypuszcza, że jistoty zaludniające pierwiastkowo ziemię były ustroju nader prostego i dopiero sposobem zwyczajnego rozmnażania się z pokolenia w pokolenie stawały się one coraz to różniejsze, a to w skutek bardzo drobnych i nieznacznych zmienności swych kształtów, — które to zmienności gromadząc się w jedynkach (indywiduach) coraz to rozmaitsze przybierały kształty. Darwina spostrzeżenia nadzwyczajnie tę teorję rozwinęły, gdyż on wykazał w najnowszych czasach, w jaki sposób owe zmienności przydarzyć się mogły. U roślin i zwierząt spostrzegamy różnice jedynek (individuen) a te jedynkowe rozróżniania się mogą się odziedziczać po rodzicach, lubo nie zupełnie. Jedynki, które w danych okolicznościach są jak najdoskonaléj uorganizowane, utrzymują się przy życiu daleko łatwiéj niżeli inne, z którémi toczą „walkę o byt“, a jeżeli te pożą-

dane, wysoko wydoskonalone przymioty dziedzicznemi w nich zostaną, natenczas jedynki niemi uposażone: będą coraz to więcéj swych pokrewnych inaczéj uorganizowanych zpychać ze swego świata działań — to co się nazywa: „wyborem naturalnym płodników.“ Jeżeli zaś zmienią się warunki istnienia, to zmieni się i kierunek takiego wyboru, a jeżeli równocześnie ustanowi się geografijna granica tak, że część tych jedynek od reszty odciętą będzie, wtedy potomstwo tych ostatnich po pewnym czasie różnić się będzie od potomstwa pierwszych. Istoty w pierwiastkowéj ojczyznie stanowić będą ostatecznie jeden — a wykluczone z niéj kolonje ustanowią drugi rodzaj, i tak daléj rozróżniać się będą następne pokolenia przy podobnych rozłączaniach się.“

Powyższe pojmowanie czysto zmysłowe, bez żadnego względu na umysłowość żyjących istot czyli na stósunki bijologijne już przez swą jednostronność koniecznie kuleć musi, a to tém więcéj, iż pomięszali darwiniści pojęcia wyboru z pojęciami pochodzenia, czyli tak zwaną teorją selekcji z teorją descendencji — a przeważnie na pierszéj, t. j. wolnego wyboru, cały swój obłęd budują.

Lecz co gorsze, że pomięszali i gospodarstwo ludzkie z gospodarstwem zwierzęcém i roślinném, zbijając to wszystko w jedną jednolitą masę — zkąd wypłynęło urojenie, że człowiek pochodzi od małpy — a jak pewien dobry profesor mineralogji przy uniwersytecie lwowskim, ale nie tęgi logik, swéj publiczności niemieckiéj dowodził, że ludzie pochodzą od egipskich baranków... (von der Laus).

Do tego obłędu przyczyniła się głównie trudność klasyfikacji, — połączona z pojęciem czysto matematyczném materji — bez ducha.

Ponieważ niemożliwém jest przedstawić szeregi pobratymcze roślin i zwierząt na papierze inaczéj jak — w linjach, ztąd nasuwała się płyciéj myślącym prosta ciągłość arytmetyczna liczbowa postępowo idąca niby łańcuch prostéj progresji, w którym naturalnie 5 musi stać między trzema i czterema; a że takie pojęcie nie wymaga wiele bystrości, a każdy prawie doktor filozofji słabe ma pojęcie o matematyce, — nadto, że filozofja dotychczasowa tak samo uważała istoty — jak i matematycy t. j. nie troszcząc się o ducha żyjących istot, — przeto — znalazł od razu pierwszy pan doktor Büchner alfę i omegę stworzenia — i nie dostrzegł małéj bagatelki: Wszechstwórcy — bo zero jak i ostatnie liczby krańcowe musiały być liczbami.

Szkoda tylko, że jednotę wszechświata dla klasyfikacji umiejętnéj trzeba sobie wystawić jako punkt, z którego promieniami niby słonecznego światła rozchodzą się stworzenia na wszystkie boki i strony i to jeszcze nie w linjach prostych, ale wężownicami — łącząc się, tykając się, pląsząc się ze sobą tu i tam. Jakżeż to wyrysować — gdy tych promieni myrjady — a z tych myrjad zaledwie kilkaset nam znanych na proszku wirującym wśród tumanu innych większych pyłków!...

To za mądre na filozofję Kantów i Heglów i bardzo niewygodne dla nielubiących myśleć. Lepiéj się obyć bez życia — bez czucia i wystawić sobie à la Haekel zarodek (embryon) egipskiego baranka jako typ zarodku osoby jakiéj nie bądź.

Siła przed prawem — to nihilizm nie wymagający niczego — krom obucha w zbójeckiéj dłoni lub tęgich rogów na byczym karku!... i to bez Boga!...

Śmieszną byłaby próżność człowieka, gdyby rzeczywiście był małpą ukrólewszczoną, gdyby się swego pochodzenia wstydził. Dość byłoby dumy z tego i pociechy — że żadna małpa nie potrafi tak pisać jak Mićkiewicz, tak malować jak Corregio, tak grać jak Lipiński, tak budować jak Michał Anioł. — Posługujemy się myślą Anglika. — Ale trzeba téż mieć wzgląd na przepaść dzielącą małże i małpy od ludzi!... Za takie skoki nienaukowe biją w szkołach drobną dziatwę, — a maż to uchodzić profesorom?!... Mniejszą byłoby — gdyby z takiego powierzchownego i lekkomyślnego nieuctwa nie wypływał cały przewrot moralności dziś panujący w Europie — w skutek tego zawrotu w głowie.

Pojmie ztąd każdy — że akademji Bolońskiéj odezwy do prawdziwych uczonych — i zaklęcia jéj — ażeby stanęli na straży prawdy i moralności — są słuszne i usprawiedliwione. Pojmie ztąd każdy, — że mógł Agassiz odezwać się w tych cierpkich słowach (str. 381, l. c.): „Żywię dla Darwina całą cześć dla wielkich jego zasług; znam znakomite jego prace w paleontologji, jak i w geologji, jako i jego poważne badania, któremi wzbogacił nasze umiejętności. Ale dla tego właśnie uważam sobie za obowiązek ażebym wytrwał w opozycji, jaką zawsze stawiałem doktrynie, która plami jego nazwisko. Uważam tę doktrynę jako przeciwną prawdziwym metodom a któremi historja naturalna zasilać się powinna; uważam ją za szkodliwą, zgubną i fatalną wszelkiemu postępowi. — Nie idzie za tém ażebym czynił p. Darwina osobiście odpowiedzialnym za te pożałowania godne konsekwencje. W jego dziełach rozlicznych nigdy nawet wzmianki nie uczynił o doniosłości, jakąky mieć mogły jego spostrzeżenia co do klasyfikacji. Jego adepci pochwycili je i przeszli z pomysłów do konów (faktów) i to powyszukiwali kony potwierdzające jednostajną ciągłość w przyrodzie — ochrzconą mianem: „Jednoty.“ Darwinizm wyklucza prawie cały ogrom już zdobytéj wiedzy, a wyrywa z niéj to tylko, co mu posłużyć może dla poparcia swéj doktryny. Nie kony to, które usprawiedliwiają piętna wymagane przez darwinistów, ażeby uogólniać wszystko, ale przeciwnie system ich przywłaszcza sobie prawo narzucania piętn porządkujących rzeczy. Darwiniści przekoślawiają na swoją korzyść kony uzyskane w skutek prawdziwych metod.“

Sądzimy, żeśmy dostatecznie wykazali różnicę jaka istnieje między Darwinem — a darwinistami, wykazawszy w ogólnych zarysach na czém się tak zwany darwinizm opiera, dodamy jeszcze, — że te badania i spostrzeżenia, które Darwin ogłasza, tyczą się tylko zmian we formach w tym samym rodzaju, t. j. że to, co mówi n. p. o kurach, gołębiach, psach i t. d. tego nigdzie nie stósuje do człowieka, ani do ogólnego rozwoju ustrojowych istot. I że ta teorja rozwojowa, którą u kopalin spostrzegamy — nie da się zastósować do rozwoju w gospodarstwie roślinném. Tu granica jest dostatecznie widoczną. Przez wstąpienie nowego żywiołu u s t r o j o w e g o czyli życia do układu kopalin, zmienia się cały sposób badań. Gdy jeszcze inny żywioł do roślinnego układu t. j. ruch dowolny przyłącza się, lubo granica między zwierzęciem a rośliną nie tyle widoczna, to mimo to również stanowczém jest to rozgraniczenie i tego co się da powiedzieć o zwierzęcém życiu — tego nie można twierdzić o roślinach. To samo tedy będzie — gdy staniemy u granicy pomiędzy światem zwierzęcym a ludzkim. Max Müller stanowczo powiada w swém dziełku: „Ueber die Resultate der Sprachwissenschaft.“ 1872, str. 28 i 29 tak: „Przekonany jestem, że mównictwo (Sprachwissenschaft) samo zdoła nietylko teorji rozwojowéj darwinistów stanowcze: Stój! nakazać, ale i jasną wytknąć granicę istniejącą pomiędzy duchem a ciałem, i pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem.“

Przy kominku.

Fala pąsowa goreje przedemną,
Blask purpurowy ściele na me czoło,
I rozświecając noc ponurą, ciemną,
Drżące promyki rzuca na około,
Wśród serca wskrzesza lat minionych mary
Kołysząc ducha tajemnemi czary!

I myśl ma leci w dalekie krainy,
Goniąc pamiątek rozrzucone kwiatki,
Szuka ojczystych gajów i doliny,
Kędy konwalje kwitły i bławatki,
Kędy szumiały przezroczyste zdroje,
I słowik nucił tęskne pieśni swoje!

Jasna kraino młodzieńczych zachwytów,
Oh jakże prędko zawierasz twe wrota,
Jak szybko gasną gwiazdy śród błękitów,
I wkrótce stanie śród życia sierota,
A z bogactw tylu będzie skarb jéj wszystek
Gorżka łza bólu i cyprysu listek!

Zwolna znikają iskra po iskierce,
Już je pokrywa czarny kir żałoby....
I niespokojnie bije smutne serce —
Dokoła zwątpień podnoszą się groby,
Po nad któremi biały anioł płacze,
Chyląc ku ziemi czoło swe tułacze!

Iskry zagasły — ciemno się zrobiło —
O spłońcie z niemi duszy mojéj żary,
Ulećcie w niebo promieniste mary,
Bo szczęście ziemskie urojeniem było,
Bo gdzie gmach marzeń stał niegdyś tak dumny,
Dziś dymne zgliszcze, strzaskane kolumny!

Skroń ideału już z wieńców odarta,
Pierś mu rozdarły doświadczenia szpony,
Już czarna przed nim mogiła otwarta,
Już huczą zdala pogrzebowe dzwony,
Ścielą ponury blask smutne gromnice,
Na te zmartwiałe — niegdyś cudne lice!

Wtém wśród popiołów błysła iskra drżąca,
Rozjaśnia blaskiem czarnéj nocy cienie,
W ztęsknionéj duszy powstaje wspomnienie —
Wspomnienie jasne, oh i tak gorące,
Że swoim ogniem rozpromienia lice,
I serca głuchą rozprasza tęsknicę!

Iskro serdeczna! ciebie nie zagłuszy
Ziemskich utrapień i boleści ciemność,
Ty utajona będziesz drżała w duszy,
I nieskończoną roztoczysz promienność,
Ty wskrzesisz w sercu gasnące zapały,
Budząc młodzieńczą wiarę w ideały!

W styczniu 74 r.

Uriela.

Opieka i Opiekunowie.

Powieść

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

Ktokolwiek podejmie obowiązek a nie dopilnuje go, popełnia zdradę: zdradza powierzoną sobie sprawę, gdyby była i chęć życzliwa i wola dobra — bo takowe bez czynu stają się raczéj tylko pomostem do piekieł.

P. W.

I.

Koncert amatorski na cel dobroczynny zwabił liczną publiczność. Panie elegancją świecące i dobrym tonem, panienki co dopiero rozkwitłe, panowie poważni, zajmujący wyższe stanowiska, młodzież of fashion — pozłacana i rzucająca złotem — inteligencja, przedstawiciele literatury krajowéj, — jedném słowém, całe towarzystwo wielkoświatowe, jako téż i zamożność ugruntowana na szanownéj pracy i przemyśle — wszystko poczęło salę zapełniać.

Na uboczu, bliżéj wchodowych podwoi, na małéj kanapce dwóch usadowiło się mężczyzn. Obadwaj widocznie już po za średnicą mezkiego stanęli wieku. Jeden nizki, grubawy, twarzy okrągłéj, rumianéj, z dobrodusznym lubo i nieco ironicznym wyrazem; oczów siwych, małych, ale tryskających rozumem, z głębią badawczego spojrzenia; dużo łysy, z rzadkiemi bokobrodami bląd — coś tam wesoło prawił drugiemu: był to jeden z pierwszych prawników miasta, pan Wincenty Nawrociński, mąż ceniony wysoko — lecz którego i lękano się zarazem: bo wiedział wiele, miał sarkazm wrodzony, a nic nie obwijał w bawełnę.

Towarzysz jego na kanapie był wysoki, chudy, pochylony, jakby unużony — nie brzemieniem lat wieku, ale raczéj przebytych trudów żywota. Świadczyło o tém poorane czoło, piętno cierpień w rysach szlachetnych wyryte i wyraz ciemnych oczów, głęboki a smutny. Rzadkie ciemne włosy ułożyły się jakby niedbale po nad wysokiém czołem. Na usta jego przyblade opuszczał się wąs długi, szpakowaty już nieco.

— Lat dwadzieścia pięć! wymówił z rzewném odbrzmieniem w głosie. — Jakież zmiany! Nie poznaję prawie nikogo. A chociaż mi znajome wymówisz nazwisko, chociaż i wierna a skora pamięć dawnych uprzytomni mi znajomych, to wszelako twarzy poznać nie mogę. — Och smutno to w dawne powrócić progi, a nie poznać i nie być poznanym. A żałośniéj, gdy liczyć tych przyjdzie, którzy już ubyli na zawsze!

— To i pocóż sobie w zebraniu wesołém takie przywodzisz myśli? Bawię ciebie przecie, rozkładam przed tobą kronikę miejscową, i przedstawiam ci aktorów dziejów naszych codziennych, a ty melancholizujesz!

— Tak już nawykłem, mój Wicusiu.

— To i odwyknéj teraz!

— Może to i nastąpi, bo z natury melancholijnym nie byłem... Ale powiedz, kto jest ta kobieta w sukni koloru burgundzkiego wina, z mnóstwem białych koronek, którą ten barczysty, z zadartym nosem prowadzi jegomość? Coś mi niby znajome jéj rysy.

Pani w sukni oznaczonéj, mająca kosztowne brylanty w grube z ciemnego włosu wpięte warkocze, pię-

kną była jeszcze — i z uśmiechem powabnym na wszystkie kłaniała się strony.

— To jest pani Węgielewska — odrzekł pan Wincenty — znałeś ją zaprawdę kiedyś! Znałeś pannę Ignacją Przedziewską?

— Pannę Ignacją! Piękną pannę Przedziewską! Tak... Poznaję. Twarz jéj od razu była mi znaną. Że szczupłéj, wysmukłéj dziewczyny zrobiła się dobréj tuszy matrona, a piękna zawsze. Wszakżeż poszła za Tytusa Morowickiego?

— Tak jest: w trzy lata po twoim wyjeździe.

— Za mojego kochanego Tytusa!... Miałem wtedy przez szczególne pośrednictwo słów kilka od niego. Ileż lat jak umarł?

— Trzynaście, czternaście, nie pomnę.

— A któż jest ten jegomość, który wdowie Tytusa rękę podaje?

— Mąż jéj drugi: pan Idzi Węgielewski.

— Węgielewski... Idzi... Dopomóż pamięci mojéj!

— Byliście razem na pensji u profesora Kasprowicza.

— A! Przypominam sobie!... Przypominam go sobie dokładnie!

— Był to zawsze wielki... urwipołeć! — poszepnął prawnik przyjacielowi na ucho — nie prawdaż? Ein feiner Kunde! jak wyrażają się żydkowie.

— Umiał radzić o sobie. Egoista, aż do obudzenia wstrętu i odrazy. Och, przypominam sobie wszystko! Pamięć prawego, szlachetnego Tytusa roznieciła zarazem i wszelkie inne wspomnienia młodości... W chwilach danych łacno odgrzebuje się wszystko na dnie przechowane duszy: obok posągu form pięknych, kwiatu miłego sercu, chwasty wybujałe i gady pełzające. Tytus prawie nienawidził Idziego na pensji, a co gorsza... rodził w nim uczucie wzgardy, bo wylane serce dla wszystkich znieść nie mogło nikczemnego egoizmu.

— Takim Idzi był zawsze — skrzywił prawnik usta i wstrząsnął głową. — A dziś żona poczciwego Tytusa jest sobie panią Idziową.

— Gorżka ironja życia!

— Więc dobrze pamiętasz Węgielewskiego?

— Jak gdyby od wczoraj! Małe to na pozór, ale charakterystyczne i z chłopięcych spamiętane latek na zawsze. Gdy Idzi ciastek sobie kupił, to uciekał pod strych i tam zapychał się niemi, lękając się, by którego z kolegów poczęstować nie musiał. Tak samo bywało gdy mu owocu z domu przysłano, szynkę, salsesony: zawsze wszystko pokryjomu zjadał.

— A do drugich zaraz przyczepiać się umiał, gdy do zjedzenia co mieli.

— Poczciwy Tytus dzielił się ze wszystkiemi, a nawet zapominał o sobie.

— Pozostało to obudwom na życie całe! Dodam tylko, że one znane ci podstawy charakteru pana Idziego większéj tylko nabrały siły, energji i rozmiarów, obok niepośledniego forysia w głowie.

— Dawnoż się ożenił z panną Ignacją?

— We dwa lata niespełna po śmierci Tytusa. I wyeksploatował ją umiejętnie. Miał fortunkę małą, wioseczkę odłużoną, a dziś, na swoją osobę, do majętnych obywateli należy.

— Czy zostały dzieci po Tytusie?

— Syn i córka. Syn ma lat dwadzieścia jeden, córka szesnaście.

— Pokaż mi te dzieci: pociąga mnie ku nim serce.

— Niepodobna, mój Jasiu! — uśmiechnął się prawnik dziwnie — syn Adolf przebywa od dwunastego roku życia ciągle za granicą...

— Za granicą?

— Oddano go do zakładu naukowego w X. Teraz mieszka w Paryżu, niby to dla nauki wyższéj — posypały się iskierki z oczów pana Wincentego — i téż wykształcił się, nietylko na kosmopolitę, ale na lalkę bezduszną, na manekina, na amfibją wstrętną. Nauczył się trwonić majątek, zdrowie, że i przeżytym został już starcem.

— Okropnie! Straszno! Ale jakichże on ma opiekunów?

— Dwóch bardzo zacnych obywateli, a trzeciego ojczyma — skrzywił prawnik usta.

— Ojczym!... Ale cóż ci opiekunowie?

— Ha! wieleby o tém było do mówienia! Wybierają zwykle ludzi zacnych, prawych, honorowych. Ci podejmują się wielkiego obowiązku opieki, ale go nie dopełnią, i mimo chęci najlepszych. To nie chcą się naturalnie matce narazić, to mają wzgląd na stryja, wuja, ciotkę, a przedewszystkiém na ojczyma! Unosi ich delikatność uczucia, albo po prostu... nie chce im się mozołu, trudu, nudzą ich te sprawy — i rozwielmożni się w całéj opiece najsmutniejsze laisser aller. — Człowiek poczciwy, honorowy nie powinien podejmować się obowiązku żadnego, jeżeli w sobie nie czuje dość siły, że aż do ostatniéj literki, aż do kropki nad *i* świętego swojego obowiązku nie dopełni, bo wtedy staje się niesumiennym i wielce zawini. A jednakże tak dzieje się często: niewłaściwa względność, nieszczęsna opieszałość, opłakane laisser aller i laisser faire już niejednego pupila do zguby popchnęły.

— Prawda! westchnął towarzysz Nawrocińskiego. — Ale cóż dzieje się z córką Tytusa?

— Panienka jest w Bruxeli na pensji.

— W Bruxeli?

— Także już od dziewiątego roku życia. Będzie i to kosmopolitka, nie wiedząca sama czém jest: dziewczyna z wyziębioném uczuciem, zobczała dla kraju, zfrancuziała, nawykła do zagranicy, do obyczajów obcych i zwyczajów: figurka, jakby z modnego żurnalu, Lafirynda, bańka mydlana, że aż serce boli! — Była tu raz przed dwoma laty...

— Jakto! Raz jeden tylko?

— Jedyny jeden. Widziałem ją... ładne dziecko, ale, pożal się Boże! — Matka jeździ tam do niéj każdego roku: odwiedza ją w przejeździe do Spa, do Vichy, do Paryża, gdzie zobaczy się z synem. Pani Ignacya może i kocha te dzieci Tytusa, ale po swojemu, to jest: w nich samą siebie kocha przez próżność. Opowiada o ich piękności i talentach, że aż ckliwo, bo to wyraźnie nie pochodzi z serca matki, jaką być powinna. Prawi o wziętości Adolfa w najpierwszych salonach Paryża. O jego wykwintnych, pańskich manierach i przecudnéj francuzczyznie. O wdziękach Cesi, jéj gracji, grze na fortepjanie i uroczym głosie.

— A jakże jest z majątkiem tych dzieci? Tytus był bogatym!

— Opowiem ci późniéj... Ścisk zrobił się na sali. Koncert zacznie się zaraz... Ale co to u licha! zawołał pan Wincenty i porwał się nagle.

Weszła właśnie śliczna panienka: dość wysoka, szczupła, wiotka, twarzyczki drobnych rysów biało-różowéj, z uśmiechem młodziutkim na rumianych ustach. Oczy wielkie, modre, spoglądały swobodnie. Ubrana była w białą tarlatanową sukienkę, pod szyję, na któréj czarną zawiązała aksamitkę. Włosy ciemne, bujne, miała malowniczo ułożone, bez wszelkiéj innéj ozdoby. Trzymała ją pod rękę pani niemłoda, w okularach — dziwnie śniada, a nawet i szpetna — strojno przybrana. Wprowadzali ją gospodarze koncertu, którym towarzyszył Węgielewski, dumniéj jeszcze zadzierając brodę.

— Co u licha? powtórzył prawnik. Przecież mnie oczy nie mylą? To jest Cesia!

— Pani Węgielewska sprowadziła córkę umyślnie na dzień dzisiejszy — ozwała się do pana Wincentego opodal siedząca pani w białéj okrywce — Cesia wystąpi w koncercie i jest to owa surpryza, którą nam obiecywano.

— Sprowadziła ją po to umyślnie z Bruxeli? prawnik swoim nie dowierzał uszom.

— Tak jest. Cesia przyjechała przed trzema dniami z baronową de St. Gilles.

— A! chrząknął p. Wincenty. Uśmiech sarkastyczny okrążył mu usta. — Nie wiedziałem o niczém — wymówił przez zęby i posunął się za panienką.

— Panie Idzi! dotknął ramienia Węgielewskiego. — Panna Cecylja wystąpi w koncercie?

— Tak jest. Żona moja napisała, by przyjechała z baronową. Cel dobroczynny... rozumiesz, kochany panie Wincenty. Niech panna za wczasu uzna powinność poświęcania się dla drugich.

— Bardzo pięknie! wymówił prawnik, skubiąc faworyty swoje, głosem przez szyderstwo stłumionym, czego jednak Węgielewski nie dostrzegł, bo uwaga jego była czémś inném zajęta a wzrok ku drzwiom zapatrzony.

— Któż jest ów pański towarzysz na kanapie? Uważałem go, wchodząc. Twarz jego znacząca i niby mi nie obca, chociaż go nie poznaję. Zwrócił już uwagę kilku osób.

— Może ją zwrócić, i zwrócić powinien: jest to Jan Soliński.

— So...liński! Więc wrócił?

— Wrócił przed trzema dniami z Tobolska, po latach dwudziestu pięciu wygnania, znękany, złamany, chory na duszy i na ciele.

— Jan Soliński!... Coś mi twarz jego przypominało.

— Byliście przez lat kilka na jednéj pensji i na jednéj w klasie siadywaliście ławce, to i mógłeś twarz jego poznawać.

— Po koncercie zbliżę się do niego. Znała go przecie i żona moja...

— Z nieboszczykiem Tytusem Morowickim bliska łączyła go pyzyjaźń.

— O, pamiętam! Nazywaliśmy ich Kastorem i Poluxem.

— Dowiadywał się téż zaraz o dzieci zmarłego przyjaciela — pan Wincenty łypnął powiekami i usta przygryzł nieznacznie.

— Wierzę, wierzę, — ciemniejsza barwa uderzyła na wypukłe policzki pana Idziego. — Pozna Cesię, ucieszy się... A gdzież zamieszkał?

— U mnie.

— Cóż on pocznie teraz?

— Nie wiem.

— Czy ma gdzie majątek jaki?

— W głowie i ręku.

Zrobił się ruch, zapowiadający rozpoczęcie koncertu. Pan Wincenty na swoje powrócił miejsce.

Sławny pianista zasiadł przy fortepjanie. Chwilowa a przynależna, pełna oczekiwania zaległa cisza. Zadźwiękła Bethowena sonata cis mol. Wszystko słuchało uważnie: jedni przez rzeczywiste poczucie muzyczne — drudzy, myśląc o czémś inném. A Nawrociński przyłożył usta do ucha towarzysza na kanapie i powtórzył mu zcicha rozmowę swoją z Węgielewskim.

— Na cel dobroczynny! dodał najcichszym poszeptem — sprowadzili córkę z Bruxeli z panią baronową, by na koncercie zagrała! Rozniecą i próżność w niewinném dziewczęciu, które siebie za pierwszą wirtuozkę poczyta. A jeszcze i powie sobie: że poświęcenie zrobiła.

Soliński pokiwał głową. I dla obudwóch piękna sonata i wykonanie mistrzowskie przedźwiękło bez echa. Po grze skończoeéj zabrzmiały huczne oklaski — i oni klaskali także, jednego niezachwyciwszy tonu.

— Może panienka już zostanie przy matce? — wymówił pan Jan znowu zcicha do przyjaciela.

— A, ba! nie marzyć o tém. Sprowadzili dziewczę, by uświetniła koncert, na cel dobroczynny! ruszył prawnik ramionami. — Lepiéj było oddać dla ubogich co uczyni podróż pierwszą klasą tam i napowrót.

Nastąpiła gra na wiolonczeli. Basetla głębokiemi śpiewała dźwiękami — żaliła się — płakała. Nawrociński zamilkł i oparł plecy o tył kanapy. Soliński patrzył przed siebie, niby na tłum strojny — ale wzrok jego wymowny jawił, że w téj chwili nikogo nie widział: zapatrzył się gdzieś daleko... może w przeszłość. Wsłuchał się w tony basetli, a rys każdy twarzy jego świadczył o głębokiém uczuciu, jakie melodyjno-żałosna wywołała skarga. Przewiały, jak westchnienie — i machinalnie wraz z drugiemi znowu uderzył w dłonie.

Pan siwowłosy wprowadził śliczne dziewczątko na estradę.

— Otóż i Cesia! wymówił Nawraciński.

— Córka Tytusa! Soliński powstał.

Młody elegant podał jéj nuty — drugi usiadł przy fortepjanie.

— Będzie śpiewała — poszepnął Soliński — takie jeszcze dziecko!

Panienka swobodnie spojrzała po sali.

— Taka młodziutka!... — Solińskiego zabolało to jéj zbyt śmiałe wejrzenie.

Pianista zaintonował przegrywkę. Panienka raz jeszcze śmiałém wejrzeniem powiodła po sali. Ale i w téjże saméj chwili pobladła nagle — spuściła oczy — nuty zadrgnęły w jéj dłoni — blade usta ściągnęły się widocznie. Wybiegło z nich pierwszych kilka tonów przycicho, słabo, choć dźwięcznie. Zbladła więcéj jeszcze — ręka jéj drżała. Soliński był wzruszony. Potém głos młodziutkiéj śpiewaczki uniósł się silniéj — jakby mocą woli i ducha przywołany — i popłynął śpiew dziwnie wdzięczny, milutki — ale bynajmniéj nie koncertowy. Soliński niecierpliwie za kołnierz surduta targnął. Usta prawnika uśmiech politowania okrążył.

Panienka śpiewać skończyła. Powstały grzmotne aplauzy. Sprowadzono ją z estrady. Soliński rzucił się na kanapę.

— Oszaleli! poszepnął. — To jest dziecko jeszcze. Taki popis!

— Ha! hm hm hm! przepuścił pan Wincenty przez zęby i ręce założył.

Nastąpił śpiew męzki, dźwięczny tenor — prawdziwa ozdoba koncertu. Potém skrzypce. Potém duet z Normy, wykonany prześlicznie przez dwie dyletantki. A potém stanęła Cecylja powtórnie z nowym popisem istny baranek ofiarny. Ale tym razem jako pianistka.

Usiadła — i pobladła znowu. Grała dobrze etude'ę jakąś — ale ręką za słabą. Biedne dziewczę! Aplauzy, oczywiście, były znowu wielkie. Soliński wąsa przygryzł. Prawnik patrzył na posadzkę — żal mu było panienki, bo wiedział, że mimo wielkich aplauzów i pochwał w oczy, będą biedaczkę bezlitośnie krytykowali, wynajdywali śmieszności i szyderstwem jéj wystąpienie obrzucą. I nie omylił się, znając świat i zwykły jego porządek.

— C'était misèrable! dosłyszał cichy poszept pani w białéj okrywce.

— Lalka efektowana!

— Une pétite mijaurée!

— Matka głupia!

— Jak zawsze!

Były uwagi, które z boku jego pochwyciło ucho.

Skończył się koncert. W sali elegancki powstał zamęt. Baronowa de St. Gilles uprowadziła Cycylją — na któréj licu piwoniowy teraz palił rumieniec. Towarzyszył im Węgielewski i dwóch młodych panów, szarmantujących przy ładném dziewczątku. Przez drzwi otwarte było dojrzeć jak paniom futra wkładali.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Uchylmy czoła.

Uchylmy czoła przed wielką boleścią,
Co idzie mężna piołunową drogą,
Która nie goni za zwodniczą cześcią,
Męczeństwa swego przyodziana togą,
Ale dźwigając twarde znamię krzyża,
Do skarg niewieścich serca nie poniża!

Uchylmy czoła na widok téj wiary
Co pośród wichrów nigdy się nie chwieje,
Co śród pocisków i obelg bez miary
Świętéj pogody blaskiem promienieje,
Z pod koła tortur i z pod miecza kata,
Jako cherubin ku niebu ulata!

Uchylmy czoła przed tą rajską, jasną
Nadzieją, któréj rozpacz nie zdruzgoce,
Co rozpromienia noc cierpienia straszną
I duchy w niebo podnosi sieroce,
I serca żywe przyspieszając bicie,
Nową w niém budzi otuchę i życie!

Uchylmy czoła przed ducha potęgą,
Co pośród gruzów przesądu toruje
Ścieżkę błyszczącą prawdy złotą wstęgę,
I potomności świetny gmach buduje,
A chwilę jednę odwagi nie traci,
Pomimo obelg i szyderstwa braci!

Uchylmy czoła przed uczuć wielkością —
Nie tą co zrywa kwiatów wieńce świeże
I samolubną karmi się czułością —
Lecz tą co życie oddaje w ofierze,
I poświęcenia świetną perłą płonie,
Śród cierni w braci męczeńskiéj koronie!

Uriela.

ROZMAITOŚCI.

Prośba do Redakcji Gazety Narodowéj.

W korespondencji z Poznania do Gazety Narodowéj Nr. 69, 25 marca b. r. piszą: „Artykuł o naszym teatrze w Tygodniku Wielkopolskim jest pełen przesady, a więc nieprawdy. Prasa powinna podtrzymywać teatr, a nie szkodzić mu. Piszemy to dla uwagi Redakcji Tygodnika.“

Upraszamy Szan. Redakcję Gazety Narodowéj — ażeby poprosiła swego korespondenta, niechby jak najbezwzględniéj wytknął nam „przesadę“ i „nieprawdę.“ Przyznać się z całą pokorą do win mamy odwagę, ale nie mamy jéj — ani ażeby pluskać tak ciężkiemi zarzutami bez dowodów, — ani przyjmować podobnych gołosłownych oskarżeń, choćby na najnieprzyjaźniejsze nam pismo cudzoziemskie.

Redakcja.

* * *

Ognisko Serdecznie powitaliśmy nowe, kosztujące kwartalnie 18 sbr., wychodzące co drugi dzień roboczy ilustrowane ludowe pismo, którego pierwszy numer zajął nas i treścią i uczciwą dobrą wiarą. Niech tylko tą drogą daléj podąża, a stanie się ono ważniejszą dźwignią dla oświaty ludowéj niż niepłodne nasze stowarzyszenia, które przy znacznych środkach a jeszcze znaczniejszych dobrych chęciach szukają do pochodu rumaków — na których siedzą.

* * *

Przegląd Lwowski pisze między innemi: „Nie wiemy jakie teraz Tygodnik Wielkopolski zajmuje stanowisko, bo od czasu jak przyrzekł być pismem nijakiego rodzaju, od 3 numeru b. r., nie odebraliśmy dotąd ani jednego numeru i tylko z Gazety Narodowéj dowiadujemy się, że wychodzi, a nawet że i Przeglądowi Lwowskiemu wycina reprymendę. Nie mogąc go nigdzie dostać, nie możemy wiedzieć, o co idzie — Ergo ad feliciora tempora, — aż go odbierzemy!“

Dziwném zrządzeniem Szan. Redakcja nie odbiera Tygodnika, gdy go odbierają przeszło stu prenumeratorów i pisma czasowe, a własnoręcznie expedjujemy go równocześnie i regularnie pocztą — jak wszystkim innym Szan. Redakcji Przeglądu Lwowskiego.

Żeby atoli być pewnym że ją dojdzie, przesyłamy Szan. Redakcji tym razem rekomendowane i za kartą zwrotną na ręce X. Edwarda Podolskiego, redaktora, dwa numera: 5ty i 9ty. W ostatnim odpieramy mianowicie nam dany przycinek — że jesteśmy satelitą „Dziennika Poznańskiego.“ To ostatnie nam Przegląd Lwowski zarzucił w poszycie czwartym a zatém był to sąd niezgodny z poprzednim — gdzie nas nazwał eunuchem. Jeżeli w poszycie 6 Szan. Redakcja się nie myli, że nie zna tylko 3 nasze numera — dla czegoż o nich zmieniła swój sąd i z bezbarwnego eunucha uczyniła nas satellitą Dziennika — a zatém barwistym w liberji Dziennika Poznańskiego?

Jeżeli teraz Szan. Redakcja znowu nie odbierze tych numerów ale kto inny — nie naszą to znowu będzie winą i wtedy prosimy Szan. Redakcję o przyjazd do nas po Tygodnik, którego nigdzie we Lwowie Szan. Redakcja dostać nie może — choć je mamy na składzie w xięgarni p. Gubrynowicza i Schmidta a na żądanie dałyby je, ręczymy, którakolwiek z Redakcji pism czasowych lwowskich.

* * *

Litwini (I Lituani), dramat liryjny, ułożony przez A. Ghislanzoni'ego, z muzyką A. Ponchielli'ego, jest przejistoczeniem Mićkiewiczowskiego Wallenroda na scenę. Słynny kompozytor „Narzeczonych“ (Promessi Sposi) Ponkjelli (Ponchielli) poruszył do szału cały świat muzyczny w Medjolanie. W dzień pierwszego przedstawienia od 3 z południa oblegano teatr Laskalę (La Scala), a czystego zysku przyniósł on 13,635 frank.

50 cent. Znawcy znakomici muzyki: Włosi — żądali odegrania „uwertury“ powtórnie, jako i odśpiewania „Modlitwy chórowéj“ (preghiera corale) i „Żalu Litwinów“ (lamento dei Lituani) z czterema chórami — a do szału doszedł zapał dla „rozpoznania się braci“ (riconoscimento dei fratelli). Jeszcze nadzwyczaj się podobało „adagio“ duetu Konrada z Aldoną. — Jeżeli muzyką stanął Ponchielli na pierwszym rzędzie kompozytorów, to nie sprostał zadaniu poeta, dotąd bardzo wysoko ceniony, „librettem.“ Zarzucają mu: że temat za jednostajnie, za niezręcznie, za smutno obrobił, a z tego i kompozytorowi za złe wzięto, że zgodził się na opracowanie jego muzyczne. Filippi, krytyk pierwszorzędny muzyczny, stawia kompozycję wysoko i winuje librecistę, ale i kompozytorowi zarzucił kilka wad, które nie rokują Litwinom takiego powodzenia, na jakie zresztą zasługują. Co przepowiedział stało się, — bo drugi przedstaw Litwinów przyniósł tylko 3,434 fr. 50 cent. Mimo zdanie Filippi'ego są i tacy, którzy za surowo ganią tę muzykę. W ogóle jednak i najwybredniejsi krytycy przyznają: że Litwini są kompozycją pierwszorzędną w Europie pod względem harmonji, kontrapunktu i instrumentacji — wyjąwszy układu (tessitura) głosów, które są za wysoko trzymane; ujemne zaś strony téj kompozycji są: że niesłychanie ponura, za wolna, za ciężka i za jednostajna. Ponchielli nie jest Wagner'ystą, owszém należy do téj szkoły ekklektycznéj, która usiłuje połączać dwa systemata, a z któréj wyszli tak dobrze Wagner jak i Verdi, a mianowicie Mayerbeer, Halévy i Gounaud.

* * *

— W sobotę odegrano po raz drugi na powszechne żądanie Precjozę, dramat liryczny Piusa Alex. Wolfa, z muzyką Webera, niestety przed prawie pustemi krzesłami.

Przedstawienie w ogóle się udało. Panna J. Kwiatyńska, która z grzeczności jeszcze raz występowała, wywiązała się z roli Precjozy znakomicie. Widoczném jest u niéj naśladowanie Modrzejewskiéj tak w modulacji głosu, jako i w ruchach; — chociaż naśladowanie takiéj artystki jak Modrzejewska nie jest złém ale i nie łatwém, jednakże lepiéjby było, żeby p. Kwiatyńska była zawsze samą sobą.

Don Alonzo, syn don Franciszka de Carcamo, mimo dobre chęci był sztywnym; jeszcze sztywniejszym był don Eugenio.

Don Francisco de Carcamo, don Fernando de Azevedo, starszy cyganów, Vijerda cyganka, zadowolnili w ogóle publiczność, która zresztą nie ma zbyt wygórowanych wymagań od początkującéj dopiero sceny, a Pedro, który odegrał swą rolę z zwykłym sobie humorem, pobudzał wszystkich do śmiechu.

Jednakże i tym razem czuć się jeszcze dawał brak dostatecznego przygotowania; jako dowód przytoczymy tylko, że dwukrotnie dwóch aktorów, których do najlepszych liczymy, równocześnie powtórzyło słowa suflera, nie wiedząc do kogo się one właściwie odnosiły.

Tak nazwane chóry także jeszcze nie wiedzą dla czego występują na scenę, i widoczne w nich zadowolnienie, że się publiczność na nie patrzy, choć tego nie spostrzegają, ile wywołują w publicznośsi śmiechu z tego swego zadowolnienia.

* * *

Nowości literackie polskie:

— „Wojciech Jakubowski, marszałek polny wojsk francuzkich“, przez Józefa Łoskiego. Warszawa, w drukarni I. Bergera. 1873. 8o, stron 25. Cena 2 złp. 20 gr.

— „Marcin Kromer“, przez Cypryana Walewskiego. Nakładem autora. Warszawa, w drukarni I. Bergera. 1874. 8o, str. X, 221, 100, 14 i 2 rycin. Cena 12 złp. (Treść: Wstęp. — Cypryan Walewski. — Źródła. — I, Marcin Kromer od r. 1512 do 1568. — II, Od roku 1569 do 1579. — III, Od r. 1579 do 1589. — Spis bibljograficzny pism Marcina Kromera. — Dodatki. — Skorowidz imion i miejscowości objętych w tém dziele).

Cypryan Walewski urodzony w Miłonicach w województwie Mazowieckiém r. 1820, um. w Warszawie 20 listopada 1873. Był jakiś czas gospodarzem na wsi, następnie urzędnikiem moskiewskim, późniéj zupełnie umiejętnościom się poświęcił i osiadł w Warszawie. Zebrał wiele wiadomości bibljografijnych.

— „Akuszerja.“ Tom I. Fizjologja i dietetyka ciąży, porodu i połogu — napisał Dr. Ludwik Adolf Neugebauer. Z 302 drzeworytami w texcie. Wydanie redakcji „Gazety lekarskiéj.“ Warszawa, w drukarni „Gazety lekarskiéj.“ 1874. 8o, str. 836. Cena 53 złp. 10 groszy.

* * *

— W środku marca tego roku spadł na górze **San Gottardo** grad obfity. Kawałki jego były bardzo twarde i słone. Profesor Kenngott z Zurychu rozbierał je chemijnie i wydobył w nich czyste kryształy soli kuchennéj — z największych kawałków do 75 centygramów. Zkąd ta sól? zapewne z pustyń Afryki. To przypomina jeszcze ciekawszy grad, który spadł w Kazanie a w którym prof. Eversmann spostrzegł kryształy pyritu czyli siarczanu żelaza, podobnego mosiądzowi. Te kryształy prawdopodobnie zmiótł wicher ze skał jakichś i poniósł je do Kazanu w obłokach, gdzie się okrystalizowały lodem. (Gazetta d'Italia).

* * *

— **Obchód pogrzebowy króla egipskiego.** Niedawno temu umarł w górnym Egipcie król państwa Masindy. Pogrzebowy jego obchód i pierwszy czyn jego następcy tak opisuje Anglik Sir Samuel Boller: „Wykopano dół czyli studnię. Weń wpuszczono wdowy królewskie i na tamże usadowionych kolana złożono zwłoki ich małżonka. Potém przyprowadzono na brzeg studni jeńców zabranych sąsiedzkim pokoleniom, obcinano im ręce i nogi, które najpierwéj — a potém ich ciała żywe wrzucono na trup królewski i jego mdlejące żony. To uskuteczniwszy zasypano całą studnię ziemią, a orszak pogrzebowy udeptał ją starannie — i było po pogrzebie.

Następca króla żałując go serdecznie — uznał, że za mało zgasłymu oddano czci — mordami żon i jeńców; zaprosił tedy wszystkich swych krewnych na suty bankiet i tam kazał ich wszystkich wydusić. (Gaz. d'Italia)

Skrzynka do listów.

Odpowiedź na zapytanie 13:

Starosta grodowy, pisarz ziemski lub grodzki nominowany przez sejm, jeśli szedł na wojnę, wyznaczał z własnego ramienia namiestnika czyli zastępcę swego, którego zwano surrogatorem. Nadmieniam, że w r. 1769 Grodzkim podstarościm był Franciszek Sołtan, czy on był surrogatorem — nie wiem.

Judex surrogatus, sędzia surrogat jest urzędnik duchowny w konsystorzu, który tyle znaczy co radzca konsystorza, ale ten tytuł sędzia surrogat używany jest w Królestwie tylko. **X. Polkowski.**

* * *

Zapytanie 15: Zkąd się wzięła nazwa „reintuch“ (albo „rańtuch“) na zawój noszony przez podolskie kobiety wiejskie, gdy strój ten głowy jest czysto narodowo-ruskim?

Odpowiedzialny redaktor Wilhelm Pohl. — Nakładem E. Calliera. — Czcionkami drukarni L. Merzbacha.
Główny skład w Poznaniu w księgarni Tygodnika Wielkopolskiego, w księgarni K. Reyznera i u M. Leitgebera.